Nro 10.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 6 maja 1847. **Rok ósmy.**

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 24 kwietnia 1847.

Stroje damskie. Tegoroczne Longchamps nie powiodło się wcale; czas był tak brzydki, iż w miejscu, gdzieśmy się spodziewali ujrzeć ładne kapelusze i suknie, nic prócz deszczochronów dostrzedz nie można było; gdzieindziej zatem musimy iść szukać mody, a najlepiej zrobimy, jeśli się po nią udamy do pierwszych tutejszych modystek, które nas niezawodnie wesprzeć w tym względzie nie omieszkają.

Tej wiosny nosić będą bardzo materie w prążki, pekiny *Fontanges*, pepliny irlandzkie, indijskie muszliny, nankiny jedwabne i inne lekkie jedwabne materie.

Na ostatnim wielkim koncercie widzieliśmy dużo ładnych strojów, z których niektóre wymieniamy: Suknię z egipskiego atłasu, przyozdobioną ukosem obszytym strzępioną szlarką i z gładkiemi rękawami. Suknię z mienionego fularu, ze stanikiem *à la vierge*, z gładkiemi prosto krajanemi rękawami; a przy spodnicy trzy szerokie zakładki. Suknię z gładkiego *mousseline de laine*, z szeroką w dole falbaną, nad którą szeroka biała jedwabna krepina, co bardzo dobry sprawia efekt.

Kapelusze i kapotki wiośniane mają kształt półszeroki, główkę okrągłą, kanię niebardzo długą. Widzieliśmy już bardzo ładne, białe krepowe kapotki ubrane hiacyntami, białą lilią, lub gałązką wiśniowego kwiatu; kapelusze *à la Montpensier* z białej krepy, ubrane długiem białem piórem w różowe cienie.

Pomiędzy mnóstwem ślicznych, dziwnie naśladujących naturę kwiatów, zachwyciła nas najwięcej girlanda zwana Seïla, z białych perskich lilij, spadających jedna na drugą, i powiązanych między sobą drobnemi listkami.

Stroje męskie. Paletoty bywają granatowe, lub w innych jakich ciemnych kolorach; stany miewają długie, szwy pikowane; kieszenie przy połach; przodki są o jednym lub o dwoch rzędach guzików.

Surduty są wszystkie o dwoch rzędach guzików; krój prosty zwykły jest, chociaż jest więcej wygodny niż elegancki; stany półdługie; wyłogi kończaste; kołnierze krótkie i stykające się z wyłogami; fałdy dużo w tył posunięte.

Kamizelki z materij w kraty robią się na dwie strony zapinane, a kształt ich jest bardzo podobny do surdutów, to jest: iż kołnierz i wyłogi są wąskie i zawsze wyłożone. Kamizelki z gładkich materij krają się prosto i kołnierz u nich wykłada się podług upodobania.

R y c i n a p r z e d s t a w i a: Biały krepowy kapelusz, dwoma piórami przystrojony. Kapelusz z włoskiej kitajki, tiulowemi ukosami wkoło kani ubrany, z różami na boku i wewnątrz kapelusza. Materialna suknia przystrojona ukosami w kształcie fartuszka; z gładkim stanikiem bardzo wysoko zachodzącym ze szpicem zaokrąglonym; rękawy gładkie, półdługie, fontaziem podpięte; biały krepowy kapelusz, rajskim ptakiem i paliowemi wstążkami ubrany. Suknia z *poult de soie* popielatego koloru, przystrojona czterema małemi ukosami, które na lewym boku podpięte fontaziami z popielatej wstążki i małemi sprzączkami; stanik półwysoki z paskiem na sprzączkę zapiętym; rękawy gładkie.

SALON I ULICA.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dzień w mieście i dzień na przedmieściu.

Ponieważ z treści mego opowiadania wypada mi w jeden i ten sam dzień zajrzyć do miasta i do przedmieścia, nie mogę nie zrobić uważnymi czytelników moich na tę olbrzymią różnicę między dniem miasta i przedmieścia, w tem znaczeniu, w jakiem ja tu biorę miasto i przedmieście, to jest innemi słowy, zbiór salonów i zbiór warsztatów, wyższe towarzystwo i lud. Różnica ta najlepiej się okazuje w ciągu dnia jednego, którego godziny inny mają bieg dla bogatego i dla ubogiego; lotne, w motyle skrzydła strojne przemykają dla salonów; leniwe, w ciężką żółwia skorupę odziane wleką się dla gminu. A każda godzina rozmaicie przystrojona z bachantki, sylfidy gracią, z brzękiem i wdziękiem w radości dzwoniąc przeskakuje po przed oczy bogacza, rzucając mu przed stopy najrozmaitsze równianki użycia i roskoszy. A każda godzina jak straszydło, jak widziadło najrozmaitszą twarz wyszczerzając, głodu, choroby, długu, z jękiem i szczękiem kuleje po przed oczy nędzarza, rzucając mu przed stopy wszystkie najsmutniejsze dary ubóstwa i ciągłej pracy. I dzień salonowcowi tak szybko przemija, że mu zawsze godzin brakuje do użycia wszystkich zabaw, a cóż dopiero do wypełnienia jakich obowiązków. A dla syna ludu godziny zda się rosną w nieskończoność i skończyć się nie chcą.

Mniejszą zapewne znajdziecie różnicę, czytelnicy moi, w dniu, który mi opisać teraz wypadło z ciągu powieści mojej, bo jeżeli sobie łaskawie przypominacie, powieść moja zaczęła się w sobotę, a więc z kolei opisywać mi przychodzi zdarzenia niedzieli, która i w przedmieściach odbywa się z rodzajem wesołości pozornej, przez kilka chwil rozpromieniającej blade i znędzniałe lica pracowitego ludu. A może i naumyślnie wybrałem weselszą nieco część życia ludu, by was, zacni czytelnicy moi, nie zrazić od obrazów, które dotąd uważane były jako niegodne powieści, mającej się dostać na welinowym papierze w białe i pulchne ręce salonowe, a które z przeproszeniem waszem zamyślam częściej wam przed oczy wprowadzać, byście je przynajmniej czytali, kiedy wam obrzydliwo patrzeć na nie. Powieść, moi państwo, powinna być obrazem życia, a życie ludu stanowi połowę większą życia całego narodu.

I minęły zresztą już te czasy, kiedy do przybytku literatury trzeba było przychodzić w rękawiczkach z biletami wizytowemi; przeszły te czasy, kiedy, pożal się Boże, jeden z literatów naszych przez lat kilka smażył sobie głowę, jakby to przyzwoicie powiedzieć w poemacie jakimś ziemiańskim, że świnia przełazi przez dziurawe płoty nasze; owe czasy, kiedy wypudrowane i wyfrakowane towarzystwo przyjacioł nauk, ta ołowiana, nieruchoma arka przymierza naszego z gustem francuskim, układała dla literatów dykcionarz wyrażeń przyzwoitych i manualik przyzwoitych przedmiotów; kiedy wiersz gładki więcej znaczył jak wiersz dobry, a wiersz grzeczny więcej jak gładki, a panegiryk zgrabnie pochlebiający herbowi, znaczeniu lub władzy, był szczytem poezii; kiedy ogłada salonowa stanowiła większą część wartości literata; minęły te czasy!.... Amen im!

Dla literata jest dziś prawda tylko! nią panie jak siekierą niech wali we wszystkie, choćby najstarożytniejsze bożyszcza głupoty i przesądów. A choć za nim ten i ów głos piśnie grzecznem, bo francuskiem przekleństwem, niech nie zważa na to, robi swoje, a dobrą sprawę swoję odda sprawiedliwej przyszłości. Ta rozsądzi. A jeżeli znajdzie literat koło godnych siebie słuchaczów, i zdoła jak iskry ożywcze rzucić w nich prawe myśli swoje, toć z takiego koła ludzi stanie się salon prawdziwy, salon jakich potrzeba.

Ale uważam, żem się rozgadał niepospolicie, a to wszystko, aby jakoś wytłómaczyć i dowieść, że do powieści naszych należy już raz wpuścić nietylko salony i szlacheckie dwory, które już znamy na wskróś, ale i ulicę i przedmieścia, i chaty wieśniacze. Niech wystąpią w powieści prócz fraków, wszystkie kapoty i sukmany, niech zagwarzą swoją mową i mieszczanie i wieśniacy, ludzie rzemiosła i pługa, i opowiedzą wszystkie swoje stosunki wzajemne i własne położenie, a pokażą wam wszystkie swoje zadawniałe rany towarzyskie, które co dzień więcej się jątrzą. Możeteż zdybując te dotąd niezwyczajne figury w powieści przyzwyczaim się do widzenia ich, i nie będziemy już nosów kręcić na widok takich poślednich stworzeń od Chama nie od Jafeta pochodzenie swoje wiodących.

Taka jest myśl moja! czy ją wykonać zdołam? inne to pytanie, któremu talent mój i ludzie nawet zaprzeczającą mogą dać odpowiedź! Ale gdy przyjdzie — a dla czegoż przyjść nie ma — człowiek

z wyższym od mego talentem, i nim ożywi wszystkie dotąd dla nas nieme i martwe sceny warsztatów rzemieślniczych, dworków przedmiejskich, małomieszczańskich i xiężych, chat wieśniaczych, i wprowadzi na scenę działań, cały lud z jego mową, myślami, chęciami i potrzebami; wówczas dopiero powstanie prawdziwie powieść narodowa, o jakiej marzą i gwarzą dzisiaj, a osiągnąć jej nie zdołają temi wszystkiemi szlacheckiemi powiastkami, jakiemi nas tylko obdarzają dotychczasowi powieściarze nasi.

A teraz przeprosiwszy łaskawych czytelników moich za epizod, który mimowolnie z pióra mego wypłynął, wracam do dalszego ciągu powieści.

Nazajutrz po wieczorku pana Karlińskiego, a wieczorek przeciągnął się aż do drugiej w nocy, o dziesiątej jeszcze z rana pozasuwane firanki świadczyły o głębokim śnie, w jakim panowie i słudzy spoczywali po ważnej a ciężkiej pracy nocnej.

Pułkownikowa chrapiąc po wojskowemu, marzyła o trzydziestej szklance ponczu, która ją ledwie z nóg zwalić zdołała.

Karliński zciągnął przez sen dukaty przed siebie, a wszystkie na wielki kamień, nieobrzezane.

Pan Alfred najniespokojniejsze miał sny; rzucał się po łóżku, krzyczał, wołał pomocy. Dusiły go myśli dzienne, przeistoczone w nocne mary. O gdyby potworne myśli, żądze i chęci, które przez dzień po niejednej ufryzowanej młodej głowie biegają tak tajemnie, że się nawet na twarz żadnem skrzywieniem nie pojawią; gdyby wszystkie żywemi w nocy stanęły potworami, i urzeczywistnionem swej wartości brzemieniem układły się na spiącego, niejeden wczoraj tak słodko uśmiechający się salonowiec, padłby ofiarą własnych namiętności zjadliwych, które tak łatwo rodzi próżniactwo, niczem nie nasycone przesycenie i gorsza nad wszystko lekkomyślność głowy i serca.

O obudzeniu się pułkownikowej i starego Karlińskiego nie będziemy się rozpisywać. Pułkownikowa obudzi się, by się znowu upić; stary Karliński, by się fryzować, plotek kamerdynera słuchać, dobre dukaty pomieniać na kulfony, które, odbywszy kilka wizyt, puści znowu wieczorem między ludzi, zarabiając tym sposobem co dzień niezłą sumkę, i ciesząc się niepospolicie dowcipnym tym pomysłem. Alfred najprzód się obudził, a gdy mu repetier wydzwonił dziesiątą godzinę, zawołał służącego, zerwał się, zaczął strasznie mruczyć na ten czas, którego mu zawsze brakuje do ważnych zajęć dziennych. Rzeczto jest ciekawą i warta zastanowienia, jak te salonowe próżniaki zawsze mało czasu mają. Cały dzień nic nie robią, niczem się nie zajmują, żadną potrzebą życia się nie troszczą, nic nie czytają, bo pan Bóg nie na to ich stworzył; a przecież czas im nie wystarcza, i każdy niemal z nich wieczorem utyskuje.

— Nie byłem dziś u xiężnej, chociaż to był jej dzień.... ale czasu.... czasu nie miałem.

— Znowu dzisiaj trzy wizyt zapomniałem.... i, to szczególna rzecz, już od tygodnia ani chwili czasu nie mam.

— W teatrze ledwie pół godziny zabawić mogłem, bo czasu nie miałem.

— Imaginuj sobie mój przyjacielu, na koniu dziś nie jeździłem, ot tak jakoś czas przeszedł, że czasu nie było.

— Co to za nudny ten stryjaszek ze wsi; dwa tygodnie już w mieście, i co dzień mnie wzywa do siebie; a tu choć płacz czasu nie wystarcza.... gdybyż jeszcze był bogaty, i nie miał takiego mnóstwa dzieci....

A proszę uważać jaką minę zajętą ma po obudzeniu pan Alfred; jak się niby spieszy i niecierpliwi; jakby losy Europy spoczywały na pustej jego głowie.

Ba! to nie żarty! on myśli!

A juści myśli, jak się tu ubrać; a do tego trzeba ułożyć plan całego dnia, by wiedzieć, czy pierwej pójdą wizyty, i jakie; czy może na koniu pierwej się pojedzie, a może w powozie; a tu znowu wypadałoby wpaść piechotą na pewną boczną ulicę. Jakże to wszystko pogodzić jednym ubiorem, lub na jakie godziny rozłożyć przebrania się.

I!.... to nie żarty!... zadumał się i marzy.

A juściż duma i marzy nad barwą kamizelki i chustki, bo to barwa wiele znaczy, i nie co dzień się jednakowo wygląda; a więc trzeba pomówić z zwierciadłem, czy dzisiaj ciemna czy jasna barwa ma przeważać w stroju.

Aha!.... to coś ważnego!... zmarszczył czoło niepospolicie.

A jakże nie marszczyć czoła, kiedy ten przeklęty krawiec zostawił jakiś fałd zbyteczny na spodniach, który tak problematycznie obsłania łytki.

I!... tu sęk!... surowa powaga osiadła na twarzy.

Alboż to nie sęk, jak zawiązać dzisiaj chustkę.... żeby to jakoś niby od niechcenia, a zgrabnie i przecież oryginalnie.... ten koniec za długi niszczy efekt wyłożenia kamizelkowego; koniec za krótki nadto odsłania batystową koszulę; *c'est mauvais genre!....* Równe końce! a pfe!....

*

Ot i dwunasta dochodzi!.... a to niedziela; trzebaby zajrzyć do kościoła, by kogoś zobaczyć i komuś się pokazać...

— *Sacré nom!*.... wrzasnął do siebie... u Kamilli być muszę.... Walenty fraka! fraka!

— Fraka? sam sobie odpowiedział, fraka przed obiadem? i oglądnął się w pół zarumieniony, czy go kto nie dosłyszał, i uśmiechnął się.... i mruknął sobie pod nosem: nic głupszego, jak kiedy człowiek zakochany.

I już przecie na ulicy pan Alfred; rad z siebie, dumny powierzchownością swoją i strojem, idzie z nosem zadartym.... idzie piechoto, bo i na cóż zawsze jeździć.

I przemknęła ładna twarzyczka pod skromnym kapelusikiem, a w ręku trzymała xiążkę do nabożeństwa. Zajrzał jej młody panicz pod kapelusz z tak bezwstydną śmiałością, że biedna przestraszona dziewczyna stanęła pąsowa jak poziomka, i pomieszana nie wiedziała co z sobą robić. Rzucił jej pocałunek powietrzny, porwał wpół jak starą znajomą, chociaż widział ją po raz pierwszy; poświstując arijkę z opery jakiejś, poszedł z tą pewnością nieporuszoną na twarzy, która odznacza tych panów przekonanych o wyższości swojej nad resztą śmiertelników. A biedna dziewczyna drżąca i zawstydzona nie śmiała oczu podnieść na przechodzących, by nie zdybać szyderczego uśmiechu, a jeszcze może na twarzy jakiej znajomej. I pytała sama siebie, za co ją od nieznajomego taka zdybała hańba.

Pan Alfred tymczasem już zapomniał o tym wyskoku swego paniczowskiego sprytu, i w katedrze wystawiał na widok publiczny wdzięki swojej twarzy i ubioru swego i całą wykwintność swoich przesadzonych manierów, z jaką przechadzał się z miejsca na miejsce, poszturkując klęczących, zawadzając patrzącym na ołtarz, przeszkadzając modlącym się nieustannemi ruchami swemi, i z jaką mianowicie, wsadziwszy jedno na czarnym sznurku wiszące szkiełko, w prawe aż do karykatury skrzywione oko, poglądał po wszystkich twarzach kobiecych.

Na wychodnem z kościoła wpadł pan Alfred w środek znajomego sobie a głośnego grona mężczyzn stojących u drzwi kościelnych, i robiących dziwnie dowcipne uwagi nad wychodzącemi i siadającemi do powozów paniami. Byłto rodzaj dysertacii anatomicznej nad pięknością nóg i łytek, które się ich oczom mimowolnie pokazywały, bądź przy wsiadaniu do powozów, bądź też u idących piechoto po ogromnem tego dnia błocie.

I w tej chwili przypomnieli sobie zgromadzeni, że dzień nader ważny, o którym niemal nie zapomnieli. Byłto bowiem dzień pojedynku pana Kalasantego Dabowskiego i pana Leona Badylskiego. Kłótnia między nimi bardzo ważna. Ludwik Rażewski, który był dowcipnisiem salonowym, rozpowiadał przed panem Kalasantym Dabowskim, który dostawszy niedawno bogate po jakiejś ciotce dziedzictwo, trącił jeszcze parafiaństwem, że pana Badylskiego śliczna fryzura na głowie była sztuczna. Dobroduszny Dabowski zaprzeczał, i przysięgał po myśliwsku, to jest na krocie diabłów, że to być nie może, boby był przecie dostrzegł tego okiem swojem. A że pan Dabowski świeżo przesadzony na pole stołeczne, na którem jak na dobrze zgnojonych inspektach, wszystkie dowcipy szybko dojrzewają, zrozumiał, że angielszczyzna niemało w salonach popłaca, więc bez wahania się ofiarował zakład.

— Dwa pasztety strasburskie i trzydzieści butelek szampana!.... krzyknął.

Propozycia tak szlachetna została przyjęta przez aklamacią przytomnych. Lecz jak się przekonać?.... w tem sęk!.... Dabowski, któremu zostały jeszcze niejakie przypomnienia dawnej śmiałości myśliwskiej, wziął to na siebie. Jakoż przy pierwszem zdybaniu, nie długo myśląc, pana Badylskiego tak serdecznie i czule witał, cisnąc do piersi swoich, że gdy przywitanie się skończyło, pan Badylski wyszedł z uścisku przyjacielskiego z głową łysą jak kolano, a fryzura piękna, arcydzieło mediolańskie, została na guziku rajtrokowym zacnego Dabowskiego.

Badylski, któremu o honor młodego wieku szło więcej, niż o honor uczciwego życia, a ubytek peruki uważał za większe uchybienie, niżeli naprzykład przybytek policzka, wyzwał Dabowskiego na pojedynek.

Owoż koniec tego pojedynku miał się dziś odbywać w sklepie korzennym. Zapomniałem bowiem powiedzieć od razu dla zaspokojenia czytelników moich, mających może wstręt do rozlewu krwi, że po długich debatach, do których należały wszystkie wyższości salonowe, zsumowawszy całą ilość odwagi salonowej, zdecydowano się ostatecznie do rozlewu wina, na którym to najczęściej kończą się takie pojedynki salonowych bohatyrów.

I za prawdę niewiele to kosztowało pracy przyprowadzić przeciwników do czułej i braterskiej zgody. Badylski wyrozumował bardzo logicznie, że jeżeli lepiej wziąć w policzek jak postradać perukę w obec ludzi, to znowu peruka nie warta życia,

wprawdzie dla drugich niepożytecznego zupełnie, ale zato bardzo miłego dla siebie, z powodu kapitalnych pięciu wiosek z czarną ziemią, jakby egipska, z lasami, jakby na Litwie, z stawem, jakby jeziorem, z kamieniem i wapnem, jakby pod górami a z pałacem, któremu równego w dziwnym guście, nie zdybać na całej kuli ziemskiej. Pan Dabowski był dawniej wielkim szermierzem; golizna jego i odwaga stały się przysłowiem i postrachem jego okolicy. Lecz odkąd cioteczne dziedzictwo spadło na niego, powiedział sobie: Nie głupim!.... i odtąd pistolety i pałasz dostały emeryturę, a z dawnej odwagi zostawił tylko sobie wielkie wąsy, gruby głos i groźne pokrząkiwanie idące w parze z marsem potężnym na czole. I jakoś mu to wystarczało, a i tym razem pomogło do łatwiejszego i prędszego ukończenia sprawy honorowej. Owoż tego właśnie dnia przez dziwnie sprytną kombinacią, a robiącą zaszczyt salonowemu pojęciu o honorze i przyzwoitości, miały się w sklepie korzennym połączyć zakład i pojedynek, w jednem uroczystem śniadaniu, za które kupiec, któremu ta gratyska miala się dostać, dziękując opatrzności, błogosławił angielskim obyczajom i cywilnej odwadze tej części młodzieży swojego miasta. A i co nawet uważał za terno loterijne, śniadanie miało być gotówką zapłacone, bo obaj amfitriony i Badylski i Dabowski należeli do płacących w ścisłem i najściślejszem dla kupca znaczeniu. Toteż Ludwik Rażewski, który tym salonowym pasztetem tyle strazburskich pasztetów na jaw wydobył, nie omieszkał sobie przy tej sposobności wyrobić u kupca jeszcze półroczny kredyt do trzechletniego, który na czarnej tabliczce białą kredą wymalowany wisiał jakby *memento mori* nad biórem kupca.

Nie będziemy się wdawać w szczegółowy opis śniadaniowego bankietu, ani też spisywać wszystkich konceptów i powiedzeń, które równie naturalnie strzelały z głów przytomnych, jak szampan fabrykowany w Brodach z butelek prawdziwie szampańskich. Za dalekoby to mnie zaprowadziło. Gdybym bowiem idąc krok w krok za tą częścią młodzieży naszej, chciał spisywać wszystkie ich dzienne czyny i słowa, urosłaby kronika niedorzeczności większa daleko, niżeli wszystkie kroniki nasze dawne razem, opowiadające rozumną przeszłość.

Nie mogę jednakże nie wspomnieć jeszcze jednego gościa tego bankietu, który się jeszcze pojawi poźniej w ciągu powiastki mojej. I niemała byłato figura w mieście.

Niejednemu z czytelników moich trafiło się zapewne, że gdy właśnie zamknął się u siebie, by coś przeczytać, oddać się myślom lub domowym uczuciom, wszedł do niego nagle człowiek nieproszony, którego znasz wprawdzie, aleś się go zupełnie nie spodziewał. I zdziwiony patrzysz na niego, czekasz zapewne, by ci odkrył powód swego przyjścia. Nadaremnie czekasz; gość twój nie ma żadnego do cię interesu; on tylko nudzi się dzień cały, i od domu do domu, od sklepu do sklepu, od salonu do salonu, przenosi siedlisko nudów, które w nim się gnieżdżą i z niego się wylewają na około zaraźliwem ziewaniem, rozmową mdłą, urywanemi monosylabami prowadzoną i długochwilowem milczeniem, które nie jest skutkiem namysłu jakiego, ale czczości, wszystkich w rospacz wprowadzającej.

Każde miasto ma takiego nudziarza uprzywilejowanego. Będzieto najczęściej niezły człowiek, który nudzi wszystkich, bo sam biedak wiecznie się nudzi. Zalezie wszędzie goniąc za zabawą, i wszędzie się nudzi i drugich wynudzi. I zawsze mu pilno, i zawsze nie ma czasu, a wszędzie go pełno, i wszędzie siedzi nieznośnie długo. By się go pozbyć, tworzysz sobie pilny interes, który cię powołuje do znajomego na drugim końcu miasta. On ci niezawodnie towarzyszy, bo sobie także przypomniał, że ma do niego interes widzenia go, po dwunastogodzinnem niewidzeniu. Więc by zniszczyć nudy, jakie wywiera jego towarzystwo, układasz wiska. Nudziarz nudzi się fatalnie i w wisku, bo go wisk jak wszystko w świecie nudzi okropnie; rozdaje karty pomału, zbiera karty po jednej, a miesza bez końca; przy zadaniu myśli tak zawzięcie, jakby szło o los jeżeli nie świata całego, to przynajmniej o los własny; myśli nad królem karowym, chociaż w kartach ma tylko jedną dwójkę karową. A gdy nareszcie zajęła cię już gra, i zapomniawszy na inne myśli, oddałeś się zmianom wiskowym, które umysł poruszają rozmaitością swoją, przy drugim robrze przypomina sobie znudzony nudziarz, że może gdzie indziej zdoła się lepiej zabawić, i przeprasza, i przerywa wiska, i idzie o dwa domy dalej nudzić siebie i drugich.

I taki nudziarz wkręci się wszędzie, w najtajemniejsze wnudzi się stosunki, jak mucha uporczywa, którą z zadziwieniem znajdujesz w dobrze zamkniętej cukiernicy. Biegając za wrażeniami nowemi, które oczywiście wymykają się przed nim, jak owe w bajce zaczarowane potrawy, wpada w środek najwięcej ukrytych wydarzeń domowych, i wciska się bez ciekawości, samym ciężarem biernym swej przytomności w najgłębsze tajemnice; a stawszy się uczestnikiem myśli tajemnej, wśrubuje się niezawodnie w

wykonanie tej myśli, do którego gwałtem chce należyć, by się zabawić, by czas, tego wroga przykutego doń od kolebki, zabić. Tym więc sposobem wie wszystko co się stało, co się stać miało, i co się nie stało jeszcze w obrębie towarzystwa, w którem żyje. I to szczęście, że z takiemi wiadomościami nie jest wcale niebespieczny dla tych, którym pomagał do najtajemniejszych przedsięwzięć, bo leniwy język jego nie pozwalał mu wygadywać tego co wiedział, a pamięci nie miał zupełnie. Wrażenia wszystkie żadnego śladu nie zostawiają na mózgu takiego nudziarza, a przynajmniej bardzo lekkie.

Takim nudziarzem w towarzystwie, które tu wprowadziłem, był pan Franciszek Piliński. Byłto oczywiście kawaler, z twarzą gładką, przystojną, ale nic nie znaczącą, na której jak żadnego nie można dostrzedz wrażenia, tak też i wieku trudno poznać. Pan Piliński był majętny, ale majątek służył mu na to, by się więcej nudził, bo napotrzebowawszy i nażywawszy wszystkiego, co pieniądze dać mogą, przesycił się wszystkiem i przekonał się wreszcie, że żadnej zozrywki dla znudzonego umysłu nie może kupić. Za nadto był zaś panem, nadto przyzwyczajonym do tradycyjnych obyczajów salonu, by szukać ulgi na swoją chorobę poza obrębami tego towarzyrzystwa, które w rzeczy samej jest mdłe, jednostajne, a więc prędko znudzić musi. Czytał więc tylko po salonowemu, a więc mało bardzo, rozmawiał z salonowcami, a więc nie wiele i nie zajmująco. I nawet przez myśl mu nie przeszło, że gdy nadużywanie majątku nie wyleczyło go od prześladującej go nudy, trzebaby spróbować jeszcze dobrego używania bogactwa. Toby było przeciw wszelkiemu obyczajowi salonów, przeciw podaniom rodu znakomitego, przeciw przyzwoitości nawet pańskiej, każącej zbytkować i trwonić. Czyliż taki pan mógłby się zniżyć aż do klas niższych; taki bogacz pokalać się zbliżeniem się do nędzarzy?.... I warto było posłuchać, jak w tym względzie odpowiedział Władysławowi Żyleckiemu, który złudzony tą właśnie jego obojętnością na wszystkie salonów wymysły, pochodzącą z przesycenia, mniemał, że go można czuciem i słowy swemi zelektryzować do innego życia.

— Jesteś straszliwy zapaleniec, mój panie Władysławie; rzekł mu z gładkim uśmiechem, i widzisz wszystko w niewłaściwem świetle, bo zapał, mój panie, to powiększające szkło, a na życie trzeba patrzyć własnemi oczyma. My nie zmienim tego porządku, jaki jest na świecie, na którym będą zawsze bogaci i ubodzy, panowie i chłopy. Niech każdy pilnuje swego zakresu, i dźwiga swoje przeznaczenie. A co do mnie, środek twój jest za heroiczny; mnieby zalały i zanudziły na śmierć te tłumy ubogich, żebraków, wdów nieszczęśliwych, sierot opuszczonych, które jakimś tajemnym związkiem są tak z sobą połączone, że ledwie jednego wpuściłeś do siebie i poratowałeś go, już zginąłeś, bo ci się bez końca pchać będą z prożbą i błaganiem; a jeżeli masz tyle cierpliwości, że dasz się nudzić, i dajesz, dajesz bez końca, to jeżeli sam nie zubożejesz, to przynajmniej zginiesz pod ciężarem najnudniejszych pochwał, mów dziękczynnych, i wdzięczności, która cię już nie popuści. A te składki nieustanne, loterie nieskończone, najrozmaitsze koncepta, nad któremi rozmyślają ciągle filantropi i golce, te dwa najnieznośniejsze rodzaje próżniaków. O pieniądze nie dbam, bo mam ich dosyć, i najlepszy dowód, że się daję okradać przez moich oficialistów, chociaż wiem o tem dobrze, ale wiem i o tem, że bogatszego ubożsi widocznie okpiwają i obdzierają.... niech więc kradną.... mamże jeszcze roznosić pieniądze pomiędzy nich?.... Reputacia mojej nieuczynności broni mnie od tych nudnych napadów starych bab, i wiecznie wódką śmierdzących żebraków. A nawet powiem ci, nie by chwalić się, bo to nawet panu śmiesznem i dziwnem się wyda zapewne, że chętnie daję.

— Dajesz pan po kryjomu... by nikt nie wiedział.... zawołał Władysław z zapałem.

— Ja nieraz gubię naumyślnie pieniądze po ulicach... i nawet znaczne.... a snać sami potrzebni je znajdują, bo dotąd nie czytałem żadnego obwieszczenia o znalezionych pieniądzach.

Władysław skoczył z miejsca i zagryzł wargi.

— Ziewasz mój panie!.... ot widzisz, że nawet mowa o tem jest nudna, a cożby dopiero było, gdybym jeszcze chciał w rzeczywistość wprowadzić takie marzenia.

Takim był pan Piliński siedzący pomiędzy biesiadującemi z postawą zimną, a twarzą, na której obojętność walczyła ze znudzeniem.

I nie jestto, moi panowie, obrazek urojony, przesadnie wymyślony; jestto na nieszczęście typ częsty w salonowych towarzystwach, przesyceniem zgangrenowany za życia, jakby te pijaki, którym zbytecznie używana wódka popaii wnętrzności. Jestto typ egoizmu, lekceważenia wszystkich uczuć, typ antypostępowy, typ nijakości umysłowej i moralnej, dowodzący zgnilizny tego towarzystwa — trupa. I takiego nie zmienią rady, uwagi, rozumowania, ani też przykłady; chyba burza gwałtowna, któraby go wygnała z miękkiego haremu, między tłumy gmi-

nu, gdzie doznawszy wszystkich dolegliwości, jakim podlegają miliony ludzi, możeby się obudził człowiekiem, coby zapewne było korzystnem dla ogółu, lub zginął jak wymęczona mucha, na świeżem powietrzu, czegoby nie była wielka szkoda.

Siedział więc Piliński nasz znudzony jak zawsze, i nie mógł się żadnego dosmakować smaku, ani w pasztetach sztrasburskich, ani w szampanie, chociaż drudzy biesiadnicy chwalili i jedno i drugie; trzeba zaś wiedzieć, że te pochwały nie tyle gruntowały się na prawdzie; smak bowiem tych panów był nadto już zużywany, by go pasztet lub szampan mogły jeszcze podrażnić — ale na prożności właściwej wszystkim salonowcom, próżności tak wielkiej i tak śmiesznej, że jej podchlebia używanie tego wszystkiego, co drogo kosztuje, a czego klasy niższe używać nie mogą. Franciszek w tym względzie był szczerszy tylko. Owoż byli już przy końcu trzeciego czy czwartego pasztetu, a przy początku trzeciej dziesiątki szampana, gdy jak to zwykle bywa pomiędzy takimi biesiadnikami, rozmowa przebiegłszy plotki salonowe i teatralne, i zdarzenia stajenne, wpadła na kobiety i rozmaite tych panów miłostki, z których oczywiście mogłaby urosnąć kronika szkandaliczna najobszerniejsza i najbajeczniejsza: bo w tym względzie kłamstwo należy do tonu i konieczności zawodu salonowca.

Z większą uwagą zaczął się znudzony Franciszek przysłuchiwać tej rozmowie. Bo on jakkolwiek wszystkiem przesycony, w miłostkach szukał jeszcze rozrywki, a nawet płacąc hołd konieczny próżności, lubił uchodzić za wielkiego zwodziciela płci niewinnej. Jego zwodzicielstwo ograniczało się oczywiście na niemałym wydatku pieniędzy, któremi kupował krótkotrwałe miłostki. A i te go zaprawdę tak nudziły mocno, że często bardzo wolał drogo zapłacić, by próżności swej dogodzić, niżeli użyć, by dogodzić przesyconym zmysłom swoim.

Kłamali więc wszyscy tak zawzięcie, iżby, jak to mówią, wołowej nie starczyło skóry, a najpotężniej kłamał Alexander Tężycki, który miał reputacią Napoleona w sztuce zwodzicielskiej. A przebiegłszy salony i kulisy, raczyli się zniżyć do świata garderób i przedmieść.

— Słuchajcie panowie! wołał głośno Tężycki, ja wczoraj wieczorem zrobiłem odkrycie.... ale powiem wam, odkrycie czegoś ślicznego, nowego....

— Mówże, mów Kolumbie! przerwał dowcipny Rażewski.

— Piękność powiadam wam niepospolita, godna pierwszego salonu; a przytem skromność, jakiej już dawno szukam.

— I nie znalazłeś jej tam oczywiście biedny Diogenesie.

— Ale gdzież to cudo znalazłeś? zapytało kilka głosów.

— Na przedmieściu, i to na najdalszem....

— Coż u diabła tam robiłeś? zapytał jeden.

— Na którem przedmieściu? zapytał młody Karliński, z wyrazem niezwykłej ciekawości.

— W pół drogi do wieczności, moi panowie.... niedaleko cmentarza.

— Koło cmentarza! zawołał pan Alfred i zerwał się z krzesła.

— Coż ty znowu wędrówki odbywasz po cmentarzach, mój Olesiu? krzyknął Kazimierz poprawiając fryzowane włosy swoje.

— Wybiegłem wczoraj od ojca twego Alfredzie, i poszedłem do jednej poczciwej starej niewiasty, mieszkającej na przedmieściu, z którą miewam czasem rozmaite stosunki, i tam zdybałem tę piękność przedmiejską.

— I coż? zapytali.

— I nic! odpowiedział.

— A to pocieszne! wrzeszczeli popijając szampanem.

— Nasz Napoleon wrócił bez zwycięztwa.

— Zwycięztwo odłożyłem tylko.

— Wątpię by ci się udało! zawołał młody Karliński, który od niejakiego czasu przysłuchiwał się z uwagą i niemałemi oznakami jakiegoś szczególnego wzruszenia.

— Zkądże ten zapał, mój Alfredzie?..... zawołał Alexander ciekawe wypatrując na niego oczy.

— Czy znasz ją?.... zapytało kilku razem.

— Nie! nie!.... ja tylko myślę, że nie wszystkie kobiety zwyciężyć tak łatwo jak się zdaje naszemu Napoleonowi.

— Ha! jeżeli ją nie znasz, więc coż cię to obchodzić może?

— On ją zna! zagadał Franciszek, którego twarz obojętna zarumieniła się z lekka.

— Nie wiem o czem mówicie! odpowiedział Alfred, i mimowolne zmieszanie swoje starał się zalać gęstemi kielichami.

— To ta mała być musi! przypominam sobie Alfredzie, ową scenę, w której i ja odgrywałem rolę; powiedział znowu pan Alexander.

— Ha! hå! ha! roześmieli się wszyscy. Alfredzie, coż ty na to?.... opowiedz nam Olesiu tę sce-

nę, w której grałeś rolę zapewne znudzonego człowieka.

— I bardzo znudzonego....

— Nie ma co opowiadać! zagadł znowu Alfred; pijmy.

— Przynajmniej mnie powiedzieć, przerwał Alexander; abym wiedział jak sobie postąpić; chyba że chcesz bronić praw swojej własności.

— Niczego bronić nie myślę... pijmy i kończmy, bo przecież mamy wszyscy podobno być dzisiaj wieczorem u pani Raińskiej.

— Więc odstępujesz!... zapytał znowu Alexander.

— Odstępuję, odstępuję, kiedy chciecie, chociaż niech mię diabli porwą, jeżeli wiem o co wam idzie; mówił Alfred głosem niby wesołym.

— Jeżeli odstępujesz, ozwał się Franciszek; to mnie należy pierwszeństwo.

— Tobie?...

— Taki przynajmniej był układ między nami.

— Panowie to nie żarty! zawołał głosem grubym jak trąba pan Kalasanty Dabowski; kiedy się nią zajął nasz Franciszek.

— Ależ widzicie, że on żartuje.... pijcie.... szkoda czasu.

— Ja serio powiadam... wszak przecie przypominasz sobie....

— Dobrze! dobrze! zaszeptał do niego Alfred; ale ciszej, bo jużciż nie chcę, by słyszeli te półgłówki.

— Więc już cię znudziła....

— Ale najmocniej, i chętniebym ci ją odstąpił.

— Nic nad to łatwiejszego! odpowiedział Franciszek, który zwykle uporczywie gonił za każdą nadzieją chwilowej, nowej rozrywki jakiej.

I odszedłszy na bok poszeptali między sobą.

— Patrz biedny Olesiu, robią układy między sobą; zniszczone piękne projekta twoje.

— Więc zgoda! szeptał Franciszek.

— Zgoda! odpowiedział Alfred...

— Dziś wieczorem?...

— Niezawodnie.

I jeszcze pili, i gwarzyli i śmieli się, a wreszcie rozeszli się w różne strony.

I nie będę krok w krok za nimi chodził, i spisywał dzieje ich całodzienne, w których się mieszczą wszystkie sposoby używane przez próżniaków miejskich, aby czas zabić. A więc chodzenie bez celu po ulicach, zaglądanie do sklepów bez chęci kupowania, ale zawsze z fantazią; wizyty, na których i sami siebie i drugich nudzą; kawalerskie pogadanki z cygarem lub cybuchem w ustach; wisk nareszcie, którego potrafili przerobić na szaloną grę hazardową, i inne tym podobne rozrywki, pominąwszy trudnienie się pocztą plotkarską... i czyliżto warto wszystko opisywać!...

Zostawiwszy więc ich na chwilę aż do zdybania się z nimi na wieczorku u pani Raińskiej, zobaczmy co też piękna Kamilla w czasie swych śniadań robiła. Ranek bogatej piękności jest wyłącznie poświęcony modom i nabożeństwie, które w najlepszej zgodzie następują po sobie i nie znając się nawet z sobą; później następuje wędrówka po sklepach, która często ukrywa inne tajemniejsze wycieczki, o których ani zamarzy żadna twarda głowa mężka.

I tak wszyscy widzieli, jak pięknym powozem o jaskrawo pomalowanych herbach, wyjechała panna Kamilla z dodatkiem panny L'oison, która, jak to sobie sama powiedziała, z guwernantki stała się powiernicą i totumfacką dawnej wychowanki swojej. I powóz był i tu i tam; przed kościołem i różnemi domami, aż nareszcie zajechał przed katedrę. Furman drzemał spokojnie na koźle i ani się domyślał, że w katedrze ani znaku o jego pani. Ona wymknęła się tymczasem innemi drzwiami, i zarzuciwszy zasłonę na twarz, przebiegła o kilka kroków dalej do pani Rowoskiej, niemłodej już pani, ale wielce miłosiernej dla młodych, którym czy przez pamięć na młodość własną, czy przez czysto amatorskie zamiłowanie, pomagała do intryg rozmaitych.

Tym razem z wielką biedą i niemałym wydatkiem dowcipu udało się pani Rowoskiej sprowadzić pana Władysława Żyleckiego, który do pani Raińskiej choć wezwany przez Kamillę, przyjść nie chciał żadnym sposobem.

Owoż gdy panna L'oison w kąciku kościoła modlącą się miała postawę, a pani Rowoska z córką nie zbyt piękną, ale za to zbyt starą panną Marianną rozmawiała najmoralniej o zepsutych obyczajach wieku, w którym tak jest trudno złapać jakiego choćby wiejskiego głupca na zięcia; pan Władysław tymczasem przechadzał się po salonie, oczekując na gospodynią, która, jak mu lokaj oświadczył, zaraz nadejść miała.

Jakoż otworzyły się drzwi, i weszła piękna Kamilla, śliczniejsza niż kiedy w czarnym stroju, który przez wzgląd na wielki tydzień wdziała na siebie. I zbliżywszy się bez żadnego pomieszania do dawnego kochanka swego, który zadziwione wypatrzył oczy, zagadała pierwsza do niego:

— A więc zdybujemy się przecie sam na sam...

— Aby się pożegnać, odrzekł Władysław ru-

mieniąc się z lekka, i porwawszy za kapelusz zwrócił się ku drzwiom.

— Władysławie! ani chwilki nie masz dla tej, której tyle razy miłość wieczną przysięgałeś?

— Przysięgałem.... ale istocie moich głupich marzeń... nie tobie pani.

— Dziecko jesteś panie Władysławie... i nie rozumiesz świata i jego wymagań... ja mogłam być kochanką twoją.... ale żoną być nie mogłam. Gniewaj się więc na świat, ale nie na mnie, która szczerze cię kochałam.... i jednego tylko słowa czekam twego.... jednego czulszego słowa Władysławie... by... kochać cię jeszcze.

— Tego słowa nie powinna żądać przecie odemnie przyszła małżonka pana Karlińskiego.

— Byłam przecie pierwej twoją, mój Władysławie!

— Czy nic więcej nie masz mi pani do powiedzenia...

— Więc sam tego chcesz panie Władysławie, byśmy się w taki sposób rozeszli.... dobrze więc.... Ja inaczej myślałam, i zdało mi się, że po takiej przeszłości było powinno coś więcej zostać....

— Nic prócz pogardy.

— Pogardy! pogardy! i zawsze pogardy! zawołała głośniej Kamilla, a oczy jej zaiskrzyły się złowrogo: mnie mój panie twoja pogarda trudniej dosięgnie, niżeli ciebie moja nienawiść, jeżeli mię przymusisz, bym została wrogiem twoim....

— Mów pani dalej.... ten ton jest ci naturalniejszy, niżeli ten, którym zaczęłaś rozmowę.

— Kończmy więc... ja proszę o listy moje wszystkie.

— Tych już odmówiłem... i odmawiam raz jeszcze.

— Czyż pan chcesz użyć ich jako poeta do wierszów lub powieści?

— Ja jestem poetą prawdy, ale nie fałszu.

— Tem mniej są panu potrzebne listy moje.

— Ja je zachowam jako rękojmię.... abyś pani lepszą żoną była niżeli kochanką.

— To jest szyderstwo....

— Nie Kamillo!.... ja będę czuwał nad tobą, byś się nie stała żoną występną.... i dowiem się.... a w takim razie biada tobie... listy staną się publiczne... rozgłoszę je przed światem.

— Zkądże taka opieka nademną?..

— To nie opieka, ale zemsta moja cała... zemsta śmieszna, nieprawdaż?... zwyczajnie zemsta poety!

— Spodziewam się, że to są żarty.

— Mylisz się pani! jestto moje niezmienne postanowienie. Ty choć jedna z salonowych zalotnic rozwiązłych zostaniesz skrępowana łańcuchem powinności ukutym z własnego grzechu twego. Będzie ci to srogą karą!.... bo wam lepiej podobno nie żyć, niżeli nie grzeszyć.... I pamiętaj, że mnie nie zwiedziesz, ja cię krok w krok śledzić będę... i nie ukryjesz się przedemną; wasze salony nadto przezroczyste, a wasi kochankowie nadto gadatliwi i chełpliwi.... jeden krok fałszywy.... a listy.... te listy, które znasz dobrze, pójdą w świat.

— Nie wiem prawdziwie, czy mam to brać za śmieszność czy za szaleństwo.

— Bierz za co chcesz, ale niemniej przeto niecofnione słowo moje.... Więc mniemałaś, że bezkarnie wolno ci będzie igrać z szczęściem mojem, że za bezgraniczną miłość moję, w którą wlałem wszystkie myśli, żądze i uczucia moje, dasz mi kilka chwil fałszywej roskoszy... i porzuciwszy mnie.... rozwiązła i bezwstydna kobieto, będziesz z rozpusty przelatać do rozpusty. Nie, moja panno, ty musisz być uczciwą żoną.... chociaż ten Karliński godnyby był ciebie... takiej, jak widzę w oczach twoich, żebyś być chciała.... Za moje marzenia wszystkie, zbrukane, poniszczone przez ciebie, ja się mszczę godnie, ja się mszczę przymuszając cię do życia cnotliwego, które bodajby przez zwyczaj przeszło w prawdę. Bądź pani zdrowa....

— Jeszcze jedno słowo panie Władysławie... wiadomość, którę ci napisałam z zagranicy, była fałszywa....

— Co mówisz?

— Dziecko nie umarło!

— Żyje!.... więc jedno kłamstwo więcej dodałaś do tylu katuszy moich.

— A więc chcesz go przedać za listy.... matko!.... która się boisz, bym ci nie pozwolił zostać fałszywą żoną....

— Za listy! przytłumionym głosem rzekła Kamilla spuszczając oczy w dół.

— Idź więc w zepsucie i nierząd, kobieto bez czucia... teraz prócz pogardy zyskałaś obojętność moję.. ta zemsta, ta kara dla ciebie, to był ostatni głos serca mego, który ciebie tłómaczył.... wychowaniem złem.... przykładami... głupie serce... głupia miłość!... precz!....

— Mniejsza o to.... ale listy mój panie...

Zarzućmy zasłonę na resztę tej sceny, w której oczywiście na końcu matka przedała dziecko swoje za prawo zostania zepsutą i rozpustną.

Pospieszajmy z końcem tego dnia, byśmy jeszcze na jakie nowe, równie piękne rysy życia nie natrafili, które, aż smutno powiedzieć, w tym lub owym kształcie często się zdarzają i niepostrzeżone przemykają osłonione blaskiem zewnętrznego poloru, który jest tą jasną przezroczystą źwierciadlaną powierzchnią, kryjącą niezgruntowane przepaście. I któżby domyślał się z gładkiej uśmiechającej twarzyczki Kamilli, wychodzącej z kościoła, że między pobytem pozornym w bożej świątyni, a wizytami, na które pogoniła odbyła taką scenę moralnie okropną. I w temto właśnie sztuka ogłady, tak doskonale gładzącej wszystkie twarze swoich mieszkańców, że z ich swobodnej powierzchowności, nie odgadniesz tego całego dramatu cieniującego się od wad i głupstw aż do zbrodni, jakie się odbywają poza widownią.

A więc dalej jak mówiliśmy były jeszcze tego dnia wizyty pań postrojonych; poufne ich pogadanki między sobą, słusznie odbywane przy dobrze zamkniętych drzwiach; a śniadaniowi panowie między drzemką i przebraniem się gotowali się na wieczorek pani Raińskiej.

Spisywać wszystkich rozmów nie myślę, chociażbym tym sposobem mógł do roku więcej natworzyć powieści, niżeli Alexander Dumas, który przecie

dwadzieścia tomów na rok wysypuje z swej czarodziejskiej pracowni. A to dla tego, że nie chciałbym drwić sobie z czytającej publiczności, które wstydziłbym się obdarzać próżną plewą lekkich i nietreściwych a nudnych rozmów tego towarzystwa.

Może to tam w takim samym świecie Balzaka, Dumasa, i innych powieściarzy paryskich inaczej idzie, ale u nas, jeżeli kto z czytelników miał kiedy sposobność przysłuchać się rozmowie większej części tego towarzystwa, przyzna za mną, że ów dowcip, ta lekka i przyjemna rozmowność, o której tyle bredni naplotą zawsze sprzyjające temu towarzystwu pióra, mają najniesłuszniej przywłaszczoną reputacią, ledwie niesłuszniej jeszcze jak kiełbasy zbarazkie i wielki w małem ciele Filidor Mrugalski. Rozmowa ta przynajmniej, o której ja tu mówię, składa się po większej części z ogólników i wykrzykników, które dają się wszędzie jednakowo zastosować, czy do przedmiotu wzniosłego czy do niskiego; które oczywiście nikogo nie kompromitują i nie dowodzą, a któremi mówiący oblatują tylko przedmioty wszystkie jakby muchy naprzykład, i jakby muchy popstrzą ją tylko. A że te ogólniki, przetłómaczone znowu na francuski język, brzmią oczywiście inaczej, ztąd powstaje niejaka rozmaitość, której całem bogactwem i całym dowcipem jest gonitwa za dwuznacznością: a jenialnością jest cieniowanie tonu i gestów w rozmowie, których sprytne zastosowanie do przedmiotu, zastępuje doskonale i dla mówiących i dla słuchających, zupełny brak prawdziwego dowcipu.

Obdarzeni jednakże łaską czarodziejską moją, jako powieściarza, która czyni niewidomym, a najcichsze szepty wiernie uchu oddaje, przejdźmy się trochę i posłuchajmy.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Z obrazów Frejligrath'a.

Gdybym się zrodził był na Sinaju!

Gdybym się zrodził był na Sinaju,
Tobym do Mekki wędrował,
I po arabskim dawnym zwyczaju
Kindżał przy sercubym chował.

Tobym na Jethra płomiennej ziemi
Z koniem w powietrzu utonął,
Tobym spoczywał z trzodami memi
Pod krzakiem, co niegdyś płonął.

Nieraz wieczorem w namiotu cieśni
Przed zgromadzonem plemieniem,
Wylatywałyby moje pieśni
Przez drżące usta — płomieniem.

I na tych ustach wisiałby w skrusze
Cały mój naród, kraj cały,
I jak czarownik wiódłbym ich dusze
Z pieśni do czynu, do chwały.

Dzikich nomadów byłbym spiewakiem,
Co duchem z puszczą gadają,
Co przed Samunem za danym znakiem
Wszyscy na twarze padają.

I przy cysternie tylko — stepowi
Ci jezdcy zsiadają z koni,
A od Adenu ku Libanowi
Pędzą puściwszy lejc z dłoni.

A jeźli nocą trzodom stróżują,
To swoje oczy bezsenne,
Jak Chaldejczycy w niebo kierują,
Na jego pismo płomienne.

I dotąd jeszcze z Sinaju słyszą
Głosy o dawnych prorokach,
I dotąd widzą jak się kołyszą
Duchy na ciemnych obłokach.

Jak w skał szczelinach, w płomiennej szacie
Te duchy pląsają tłumnie....
Ha ludzie! którzy w swych czaszkach macie
Mózg tak gorący jak u mnie!

Wy co za namiot macie pustynie
W was trwogi ni zdrady nie ma,
Tyś sam na koniu swym Beduinie
Jak fantastyczne poema!

Ja po północnem błądzę wybrzeżu
Na zimnym a mądrym świecie,
Jabym chciał spiewać wam na noclężu
Oparty na konia grzbiecie. —

U......

Kronika muzyczna.

Często w dziedzinie sztuki powstają pytania, czyli artystostwo w pewnych wiekach i narodach dochodzi do szczytu doskonałości, do ideału istotnego, czyli też ideał dopiero z czasem odsłania się artystom, ci więc coraz doskonalej go wyrażają, do wyrażenia zaś całkowitego nigdy nie przychodzą, bo im więcej zbliżają się doń, tem dalej usuwa się ideał przed nimi, ukazując im coraz większą doskonałość swą, coraz większą głębię. I takto dziać się ma przez wieczność, sztuka ma ciągle postępować, ciągle rozwijać się.

Zaiste, pięknaby to prawda była, lecz historia sztuki inaczej powiada.

W architekturze, w plastyce, w malarstwie widzimy jasno, że te sztuki dochodzą do pewnego punktu kulminacijnego swej doskonałości, i odtąd upadać poczynają. Siła twórcza w człowieku po długich usiłowaniach dochodzi nareszcie do takiej równowagi i harmonii, iż ideał całkowicie ujrzyć i urzeczywistnić zdoła, lecz długo w tej harmonii utrzymać się nie może, bo duch ludzki z natury swej dążąc coraz dalej, rzuca tę równowagę i wpada na potworne, chorowite utwory.

Najbardziej zaś temu błędnemu rozwijaniu sztuki podpadają potężne, w owych czasach zjawiające się jeniusze. Nie mogąc śród zakresu niezmiennych praw umnictwa stworzyć coś doskonalszego od istniejących dzieł, przekraczają ten zakres, wyrabiają nibyto ideał wyższy, w sferach, w których żadnego już ideału nie ma. Przypominamy drugą część Fausta Getego, w którym sławny ten poeta usiłował już nie ludzi indywidualnych, lecz pojęcia ogólne, całe wieki lub narody w pojęciach usposobione wprowadzić do dramatu. Utwory takich jeniuszów podziwiać będą wszyscy, ale sobie z nich sprawy zdać nie potrafią, bo utwory te nie czynią wrażenia takiego, jakie sztuka czynić powinna. Jenialną swą excentrycznością olśnić zdołają na czas długi, lecz gdyby tego kierunku chwycili się wszyscy, nastąpiłoby wynaturzenie się sztuki.

Do takiej pory doszła była architektura w wieku 17tym (styl rokoko) rzeźbiarstwo podobno dzisiaj (usiłując namiętności gwałtowne wyrazić w marmurze, który dla swej ciężkości do tego nie jest sposobny) a przedewszystkiem muzyka dzisiejsza.

Nie ma w dzisiejszej muzyce tej prostoty a przytem i czystego i wzniosłego ducha, którym odznaczają się w dawniejszych czasach utwory włoskich muzyków Palestryny, Scarlattego, Pergolesa, Marcella, Duranta; z późniejszych Händla, S. Bacha, Mozarta, Beethovena, Webera. W wykonaniu posiadamy mistrzów, o jakich dawniej wyobrażenia nie miano. Jakoż w tym wyłącznym prawie kierunku rozwija się muzyka dzisiejsza. Wszystkie prawie

utwory mają wykonawców na oku, a najczęściej przez samych wykonawców tworzone są. A że doskonałość wykonania polega najczęściej na technicznej wprawie, a wprawa techniczna w nieskończoność postępować może, więc piszący kompozytorowie starają się w swych utworach do najwyższego dziś stopnia posuniętej wprawie szerokie otworzyć pole. I to główną jest przyczyną wynaturzenia czyli zboczeń muzyki tegoczesnej. Nie znajdziesz w niej potężnej, świeżej myśli, którąby poezią i prostotą ujmowała. Nie znajdziesz uczucia silnego, zdrowego. Myśl lub uczucie jest albo do tego stopnia podniesione, iż przestaje być myślą, uczuciem, staje się jedynie jakąś mgłą, mżonką fantastyczną, albo też gubi się w nagromadzonych trudnych, łamanych figurach muzycznych. W nowszej szkole francuskiej przybyła do tego jeszcze chęć nie wyrażania uczuć lecz opisywania — chęć naśladowania natury i dźwięków przyrodnich, któryto kierunek indiwidualności i biegłości wykonawców najobszerniejsze do odznaczania się pozostawia pole.

A na samem czele w tym kierunku postępujących kompozytorów i wykonawców stoi Liszt, nadzwyczajnym obdarzony jeniuszem, i w tym zwichnionym kierunku talent swój wyższy objawia. W jego kompozyciach trudności muzyczne nie są jedynie dla okazania wprawy wprowadzone, lecz służą do oddania myśli. Opisywania uczuć lub naśladowania dźwięków przyrodnich, nie czynią wrażenia jedynie tem przypomnieniem iż doskonale rzecz malują, jak to po większej części w nowszych kompozyciach się dzieje, lecz wplecione w całkowity dramat uczucia ludzkiego, wyrażają lub też podnoszą pewną myśl, uczucie pewne. Jedynie nadzwyczajna biegłość techniczna, jest podobno przyczyną, że tak w jednem jak i w drugiem w przesadę wpada. W kompozycii ubiega się za miejscami popisu, za dźwiękami i zwrotami w których niezwykłą indiwidualną oryginalność w grze ukazaćby mógł. Celujący w piano, do takiej głębi lub subtelności stara się odcieniować uczucie, iż wszelki wyraz uczucia ginie i tylko nadludzka siła wydobywania jak najsłabszych a przecież dosłyszanych tonów pozostaje. A naśladowania dźwięków przyrodnich i dziwnych niezwykłych tonów równie jak bardzo subtelnych cieniowań uczucia lub myśli tak często używa w swej kompozycii, iż to, co zrazu w całkowitej harmonii mogło stosowne zająć miejsce, w końcu wydaje się jedynie rzeczą techniki, jakby bez wyższego natchnienia, bo talent i natchnienie prawdziwe, nieskrzywione, niewynaturzone, objawia się wszędzie w największej prostocie.

Każdy z dzisiejszych muzyków-wykonawców wyrabia w sobie właściwą odrębną inwidualność artystyczną, i jedynie ze stanowiska tej indiwidualności grę artysty pojąć można. Kto z muzyków nie wyrobił sobie tej indiwidualności, ten artystą zwać się nie może. Indiwidualność ta nazywa się wtedy manierą, jeżli nie jest uzasadniona w wewnętrznem usposobieniu artysty lecz wyuczona. Ten muzyk-wykonawca wywiera na słuchaczów wpływ największy, który doskonałość wykonania łączy z jak najwłaściwszą, najodrębniejszą indiwidualnością. A jeśli przytem z artystą występuje przed słuchaczów człowiek, którego przekonanie i szlachetność przelewa się w grę jego, wtedy powstaje między słuchaczami a artystą szczególniejszy magiczny związek, który elektryzuje nawzajem i mistrza i publiczność. A to właśnie dzieje się na wszystkich koncertach Liszta.

Indiwidualność każdego muzyka wyraża się najzrozumialej w kompozyciach jego. Spohr naprzykład w swoim Fauście, Jessondzie okazał starożytną, spokojną, rozważną wielkość, przytem głębokość i szczerość uczucia z którem się całkowicie wylewa. To samo chwalą powszechnie i w grze jego; podobne zastosowanie możnaby i do Liszta zrobić. Skreślona powyżej natura jego kompozycij stanowi i jego właściwośc w wykonaniu. Dla tego też najwięcej zdziwia on, gdy gra kompozycie własne; a chociaż całość z małemi wyjątkami jedynie zdziwia a nie czyni trwalszego wrażenia, pochodzi to nie z braku wyższego natchnienia lecz z właściwości artysty, z tego za częstego nagromadzania rozmaitych figur, z rozdrabiania i nadto subtelnego cieniowania i podnoszenia uczucia, z częstego opisywania a nie wyrażania myśli lub natury, z rozłamywania więc przez to całości utworu na tysiące drobnych jaskrawych światełek, w których on istotę gry swojej najdoskonalej objawić może. I czy zagra fantazię z Don Juana, czy wariacie z Lunatyczki, czy pieśń Szuberta, czy mazura lub polonesa, zawsze ta właściwość bierze górę nad charakterem wypływającym z utworu samego, a czasami nawet charakterowi utworu przeciwna jest, jak to naprzykład w jego mazurach się dzieje. Bo jeśli z mazura utwor wyższego rodzaju powstać ma, toć w duchu tej nuty dziać się powinno. W jakiekolwiek figury i zwroty muzyczne kształtować się ma, zawsze taż sama nuta drgać, tożsamo życi czuć się dawać powinno. Jak z nuty prostej narodowej wyrabia się utwor wyższy — najdokładniej wyrozumieć mogliśmy z marsza węgierskiego granego przez Liszta. W każdej formie, w każdym zwrocie, drzała zawsze taż sama nuta węgierska, a przecież nie było jednostajności, powtarzania się; kompozycia miała całośc skończoną. Tymczasem formy rozmaite, przechody i zwroty w mazurze użyte, zastosować można było tem samem prawem i do Tarantelli, Don Juana lub Lunatyczki. Toteż mazur i polones należą do mniej doskonale odegranych utworów, a z Chopina kompozycij li tylko napis pozostał.

Kto w muzyce szuka wykonania do najwyższego możliwego stopnia posuniętego, ten zadowolony do najwyższego stopnia przysłuchiwa się Lisztowi, gdy gra utwory własne. Lecz kto przedewszystkiem żąda aby w każdym utworze była całość, poezia, aby muzyka nie tyle zdziwiała, jak myśli i uczucia budziła w słuchaczach, tego tem mocniej zajęły utwory innych mistrzów, odegrane przez Liszta, im mniej w właściwości swe ubierał myśl oryginalną. Gdy gra utwory własne, krótkie chociaż często bywają chwile, w których mistrz na nucie swej jak na pasku trzyma despotycznie dusze wszystkich słuchaczów. Bo natychmiast nabiegają w grę właściwości artysty, panowanie despotyczne ustaje nagle, a zdziwienie nad szczególniejszemi, nigdy dotąd nie przeczuwanemi nawet tonami i zwrotami następuje. Gdy gra zaś utwor innego mistrza np. Uwerturę z Wilhelma Tella, Sonatę Beethowena, Webera wezwanie do tańca, owładnąwszy od początku zaraz dusze wszystkich słuchaczów, trzyma je despotycznie w uwięzi aż do uderzenia ostatniego akordu. I nie słychać już wtedy po sali częstych głosów zdziwienia, lub nie widać oglądania się osób w chwilach niezwykłych tonów lub akordów. W jednej nucie zbiegają się wszystkie myśli wszystkich, nie ma czasu i możności, dziwić się pojedynczym tonom, gdy całość potężną uderza myślą. I to powinno być mocną oznaką prawdziwej poezii w muzyce, prawdziwego stanowiska muzyki, równie jak i ostrzeżeniem od wszelkich zboczeń w które dzisiejsi kompozytorowie i wykonawcy wpadają.

(*Najnowszych utworów na fortepian ciąg dalszy*) Kompozytor większego dzieła muzycznego »Zburzenie Jerozolimy« Ferd. Hiller wydał op. 35 I. i II. *Sei Capricietti* w Berlinie. W krótkim urywku zawsze myśl jedna w szorstkich swawolnych zwrotach objawia się, bo tem są właściwe Capricietti. Czasami zwroty te są za harmonijne, w wykonaniu na fortepianie wypadałoby wydatniejsze, śmielsze przeskoki uczynić, więcej poodcinać od siebie.

Tego rodzaju utwory jak Capricietto, powinny mieścić w sobie więcej zuchwalszej swawoli, która biegnie za zachceniem najmniejszem, kaprysem chwilowym, nie troszcząc się o to, czy skoki jej będą miały wdzięk, powab, albo czy karku nie nakręci.

J.F. Dobrzyńskiego op.48 *Resignation* (Berlin i Wrocław) odznacza się głębokiem niemanierowanem uczuciem i niemanierowanem powiązaniem kilku świeżych pięknych melodij. Toż samo powiedziećby można o jego op. 52. *Nocturne*. Obydwa utwory są więcej liryczne niż dramatyczne. Trzeba więc przenieść się w usposobienie kompozytora, aby pojąć dostatecznie spiew jego. Z dwoch walczących między sobą uczuć wyrażonych czule poważnem *As-Dur* i ruchliwem gwałtownem *F-mol*, składa się kompozycia a zakończona stanowczem podniesieniem się ducha z tej walki.

We wszystkich kompozycyach Dobrzyńskiego uderza proste, nieskażone, silne uczucie, a ta siła i prostota podoba się więcej, niż kombinowane na szerokich podstawach materialnych sztuki rozwinięte utwory, które nie działają bezpośrednio na umysł słuchaczów, lecz jedynie za pomocą rozważnego zastanowienia się nad wszystkiemi kształtami i przejściami mogą rozbudzić uczucie. I dlà tego czytamy w pismach lipskich muzycznych narzekania, że na koncercie w muzykalnie ukształconem Lipsku odegrany kwartet Dobrzyńskiego, wzbudził entuziazm powszechny nie mogący się uspokoić; żądano powtórzenia kwartetu, gdy tymczasem symfonia wielka następująca wprost po kwartecie, jednego nawet nie wywołała oklasku!

Powszechnej Gazecie muzycznej wychodzącej w Lipsku, piszą z Paryża (Nr. 4. 27. Styczeń 1847): »Pomiędzy tutejszymi skrzypkami zjawił się szczególniejszy fenomen. Henryk **Wieniawski**, jako chłopiec ośmioletni, przybył tu z Warszawy i powierzony został opiece wuja, który posyłał go do szkoły konserwatorium paryskiego. Przed trzema tygodniami przyjeżdża tu matka tego chłopca, która go od lat trzech nie widziała, i zaledwie opuściła dyliżans, zaproszona została na konkurs odbywający się w konserwatorium, w którym i jej syn do udziału przypuszczony był. Szczęśliwa matka przybyła właśnie w sam czas, aby widzić, jak jej dziecię (słowa tego użyć tu można w ścisłem znaczeniu) otrzymało nagrodę pierwszą. Znane są powszechnie popisy konserwatorium paryskiego, nie potrzeba więc pochwał, aby sobie zrobić wyobrażenie o doskonałości gry tego jedynastoletniego chłopca. Koncert Rhodego, z którym wystąpił, nie słyszałem jeszcze nigdy piękniej odegrany.«

Kronika literacka.

Henryk Rzewuski autor pamiątek Soplicy, mieszanin obyczajowych i Listopada napisał nową trzytomową powieść pod nazwą: Samuel (podobno Zborowski) gdyż treść powieści odnosi się do wieku XVI. Wyjątki z tej powieści umieszczane będą w Tygodniku petersburskim. Z radością witamy utalentowanego pisarza na tem polu, na którem pójść będzie musiał za skazówką historii i podnosić lub apoteozować to, co owego wieku istotnie jedynym a zbawiennym dla przyszłości było wyrazem, a czego nie mogąc dźwignąć obecnie Jarosz Bejła, własne osobiste zwątpienie, wszelkiemi drogami, przelać chce w cały naród. Wszakże jeśli to zwątpienie pochodziło z przeświadczenia osobistego, które Bejła jako przeświadczenie narodu całego podawał, więc potępione jednogłośnie od wszystkich (już nawet wydawca Tygodnika petersburskiego zaczyna w przypiskach do rozpraw Rzewuskiego protestować przeciw tej dążności) powinno było już okazać się autorowi jego, jako osobiste widzimisię. Jednakowo wszystko co Jarosz Bejła pisze, nosi na sobie dotąd tę umyślną cechę, w około tych pojęć w zamiarze wyrachowanym raz wraz kołuje autor Listopada, dla tego i my zwątpiliśmy o dobrej wierze pisarza. Dziś cieszymy się mocno, gdy tak utalentowany pisarz przeniosł pióro swe w epokę, w której nie będzie mógł uderzyć o tę samą strunę.

Władysław Syrokomla ogłosił w Tygodniku Petersburskim prenumeratę na wydanie poetów polskołacińskich w przekładzie polskim. Pierwszy zeszyt zawiera tłumaczenia wszystkich niemal prac Klemensa Janickiego przez wydawcę. Kilku znakomitych pisarzów, ofiarowało wydawcy pomoc swą do dalszych przekładów. Dzięki im, może się uda w czasach dzisiejszych, odgrzać ten lód łaciny, co na kilka wieków zaskorupił myśli naszych rodaków, może się uda wskrzesić ich aby we trzy wieki przemówili do nas mową ojczystą, i stanęli jako najdawniejsi na czele narodowych poetów.

Dochód czysty z tego wydania, przeznaczony na odbudowanie rzymsko katolickiego kościoła w miasteczku Mirze, w gubernii Mińskiej, powiecie nowogrodzkim. Próby przekładu Janickiego, umieszczone w pierwszym tomie Atenaeum nowej serii, powszechnie są chwalone. Cena zeszytu rubel śrebrem jeden, a z przesyłką pocztową rubel i kopijek pięćdziesiąt.

TEATR.

Nową komedię Korzeniowskiego przedstawiono po dwakroć razporaz pod tytułem: »Młoda wdowa«. Treść jej w krótkości następująca. Młoda wdowa podoba sobie w emancypacii kobiet, promowowanej przez panią George Sand. Wchodzi sama w towarzystwa mężczyzn, jeździ na koniu, pali cygara, strzela do celu. Głębszem z natury obdarzona uczuciem kobiecem, zaczyna w końcu nudzić się tem przybranem życiem. Dotego takiem przystawaniem z nią brat zabrat spoufaleni mężczyzni z jej towarzystwa, naprzykrzają się jej swojemi oświadczeniami zanadto śmiałemi. Jeden tylko nie w pierwszej młodości mężczyzna, dawniej przyjaciel jej ojca, ubolewa nad jej niestosownem dla kobiety życiem. Czuje dla niej skłonność, lecz usuwa się od niej, bo go zraża jej postępowanie. I młoda wdowa podobała sobie pułkownika, a usuwanie się od niej i obojętność męża, którego ona ze wszystkich postępków szacuje wysoko, wraz z coraz większem zniechęceniem do dotychczasowego życia, przywodzą ją do opamiętania. Tymczasem odrzuceni od niej z pogardą dawni towarzysze jej przejażdżek i zabaw męskich, mszczą się kompromitowaniem dobrej sławy młodej wdowy. Jeden przebiera się w suknie hrabiny, i zmrokiem wraz z drugim wyjeżdża na Bielany i dopiero rankiem wraca. Szczęściem że pułkownik czuwał nad wszystkiem, wykrywa zręcznie podstęp a hrabina przekonana, jak sława kobiety łatwo może być narażona emancypowanem życiem, poprawia się zupełnie i oddaje rękę pułkownikowi.

Komedyja »Młoda wdowa« należy niezaprzeczenia co do wykończenja do najlepszych utworów Korzeniowskiego. Z nadzwyczajną lekkością i bez najmniejszej przesady prowadzona osnowa, przypomina nam ciągle że i my mamy pisarza, który wyrówna znakomitszym komediopisarzom francuskim. Osobliwie intryga jest tak prosta iż dziwić co chwila się potrzeba, jak małemi środkami, które same z siebie podają się pisarzowi, osiąga skutki wielkie. Korzeniowski nie uderza dowcipem, wesołością w komedii, lecz prawdą charakterów pochwyconą zręcznie, zestawieniem namiętności, czasem wprost sobie przeciwnych, niewymuszonym dialogiem, a przedewszystkiem podnoszeniem tego tętna życia społecznego, z którego jedynie komedia dzisiaj wzrost wziąść może. W prawdzie w komedii tej prawie wszystkie charaktery nie są oryginalne, witamy ich jako dawniej znajomych, lecz pokazują się nam w nowych pięknych sukniach, w nowem ugrupowaniu, zajmują też mocno.

W dawniejszych komediach szkicował więcej K. charaktery i osnowę, w tej treść zupełnie jest rozwinięta, ztąd pełność form i należyta, stosowna budowa całości.

Rozmaitość.

Po ucieczce naszych z pod Piławiec, Łukasz Opaliński, marszałek nadworny, wracał z bitwy jeden z ostatnich. Zgłodzony przejeżdżając przez wieś spytał staruszki, czy nie ma kurcząt. Gdy staruszka odpowiedziała, że nie ma, prosił, czyby gdzieindziej we wsi kupić nie można? Ani na lekarstwo, rzekła. Na to Opaliński rozgniewany krzyknął: A cożto tu za gospodarstwo, że we wsi i kurki nie dostanie! Pojedli je tchórze, co z pod Piławiec uciekli — odparła złośliwie staruszka.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.